

IWONA BURDZANOWSKA

ur. 1960



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL, współczesność
Słowa kluczowe	Lublin ; dokument ; lubelska fotografia ; lubelscy fotografowie ; aparaty fotograficzne ; praca fotoreportera ; fotografia naukowa ; ulica Spokojna w Warszawie ; Life (magazyn) ; Zakład Mikrobiologii Ogólnej UMCS ; Medicus (miesięcznik) ; Salgado, Sebastião ; Warszawa ; Gazeta Wyborcza Lublin ; reportaż ; Gazeta w Lublinie ; PRL ; ciemnia ; współczesność ; ulica Krakowskie Przedmieście ; Pleszczyński, Jan ; fotoreportaż ; Wysokie Obcasy (dodatek do Gazety Wyborczej)

1. Nie miałam ochoty fotoreportersko uczestniczyć w czasach sprzed 1989 roku

Nie znam czasów do 1989 roku, bo nie miałam ochoty fotoreportersko w nich uczestniczyć. Po prostu nie widziałam tam swojego miejsca, nawet [go] sobie nie wyobrażałam. Moja fotografia z tamtego [okresu] była [związana z czymś], co się zwykle robiło, uciekając od [owych] czasów. Czyli [z wyjazdami] w Tatry. Siedziałam sobie [tam] raz w miesiącu i [wykonywałam] jakieś zdjęcia. Wiadomo, że musiałam [je] robić. W Lublinie bywałam sporadycznie. [Ponieważ zasadniczo zajmowałam się] fotografią w Zakładzie Mikrobiologii Ogólnej UMCS. Czyli robiłam tak zwaną fotografię techniczną. Czasami [uwieczniałam] ludzi, którzy funkcjonowali w tym zakładzie. Ale to było wszystko.

Czerwcowe wybory fotografowałam już dla sportu, ciekawości i dla siebie. Bo wiadomo, że coś się działo. Było [wtedy] zupełnie inaczej. [Pragnęło] się [uwiecznić] ludzi, miasto. [Po to] chciało się wychodzić na ulicę. Człowiek był troszeczkę zdziwiony tymi zmianami. [Ponieważ wówczas] nie byłam w rytmie pracy gazetowej i wydawniczej, [to] nie rzucałam się na te zmiany tak, jak teraz bym [to zrobiła]. Może to i dobrze.

2. Początki uzależnienia fotograficznego

[Początkowo] zajmowałam się rysunkiem i malowaniem. Łapy zawsze mi się wrywały do ołówka, do farb olejnych. Może trochę mniej do akwareli. Ale zawsze się tym [parałam]. Jakoś tak dziwnie wychodzi, że zainteresowanie fotografią zawsze jest związane z uczestnictwem w jakichś kółkach fotograficznych. Od razu mówię: ja w

czymś takim nie uczestniczyłam. Miałam licealnego narzeczonego –najładniejszego chłopaka w liceum (tak mi się wydawało) i na dodatek przewodniczącego samorządu szkolnego. Czyli na tamte czasy szycha i figura. Zajmował się fotografią. Oczywiście jak się ma szesnaście lat i takiego narzeczonego, to najlepiej [zajmować się tym], co [i on].

Ja, widząc aparat fotograficzny, stwierdziłam: „Jezu, to jest na mój temperament” To jest szybsze niż [malarstwo, którym] się [do tej pory] zajmowałam dla przyjemności. Rzeczywiście, [fotografia stanowiła] szybszą metodę zarejestrowania tego, co się podoba. I to był drugi argument za tym, żeby wziąć aparat do ręki. [Odkryłam], jaki można zrobić z tego użytek. A już magia pierwszego samodzielnie wywołanego negatywu, czyli założenia tego do koreksu, rozbełtania tych wszystkich chemicznych odczynników, przeprowadzenie całego procesu i zobaczenie rolki negatywu... [Nie] wiem, czy pierwszy seks dał tyle samo wrażeń, ile wywołanie pierwszej rolki filmu. Chyba nie. To był [początek mojego fotograficznego] uzależnienia. I tak już zostało.

Trzeci argument [na korzyść zajmowania się fotografią] teraz może się wydawać kretyński. Wtedy ktoś, [kto] miał aparat, potrafił się posługiwać nim i procesami chemicznymi, panować nad tym, był kimś. Normalnie ludzie szli do fotografa i robili sobie zdjęcie do legitymacji (już nawet nie do paszportu, bo wiadomo, jak było z paszportami). A fotografie [wykonywane] jakimiś aparacjami ([na przykład] smienami [bądź] innymi zorkami) przedstawiały taką jakość, że [człowiek czuł] po prostu rozpacz. Zdjęcia rodzinne właściwie [stanowiły] bardziej wspomnienia w wystrzyżonej w jakieś wzorki rameczce niż zdjęcie konkretnej sytuacji. To jest niewyobrażalne w stosunku do tego, co mamy teraz. Więc fotografia była formą wywyższenia się i pokazania, że: ja jestem kimś innym, bo potrafię zrobić coś więcej, [bo] mam aparat zawieszony na szyi. Zupełnie inne postrzeganie.

Z moim pierwszym aparatem [wiąże się] piękna licealna historia. Na komunię wszyscy dostawali druhy (plastikowe badziewie) albo smieny 8 (z plastikową soczewką –ogólnie zawodny, [ale] trudno było to popsuć). Ja tego niestety na komunię nie dostałam. W domu leżał za to beirette –enerdowski produkt. Mój tatuś sobie go kupił. Bo jak się jeździło na wywczas albo do sanatorium, to wyposażenie [na tę okazję stanowił] właśnie aparat. Wtedy [osoba] wyjeżdżająca na wakacje inwestowała rolkę albo dwie [rolki] filmu. [Korzystała z niego przez] rok albo dwa lata, potem zanosila do fotografa i za jakiś czas ([jeżeli] pamiętała) odbierała te zdjęcia. [One] miały [jedynie] zarys wspomnień, bo większej fotografii tam nie było.

[Kiedy] zaczęłam się zarażać tym narzeczoną i fotografią, to nagle się okazało, że w domu jest jakiś aparat. [Więc] przyczynkiem do rozmowy z narzeczoną ([w ogóle do] pozyskania [go]) było przyniesienie takiego [sprzętu]. I jak już jakimś cudem [zdobyłam] tego narzeczonego i [mogłam] zaszpanować na korytarzu w liceum przed koleżankami (które też chciały mieć takiego narzeczonego), [ten] popatrzył na aparat i [powiedział]: „Wiesz, tutaj jest coś zepsute. Ale można to zreperować” Tatuś już położył [rękę] na tym aparacie. Po prostu [mu] kiedyś spadł. A że był plastikowy, [to]

coś się [w nim] ułamało. Dlatego był taki felerny. Narzeczony [go] zreperował. [Beirette] działał przez chwilę, potem znowu nie działał. Jediną metodą, żeby [nim fotografować], było jego rozkręcenie po przerobieniu rolki filmu. Narzeczony zrobił mi takie malusie śrubokręciki (chłopak parał się też mechaniką precyzyjną, potem zresztą [ja] studiował). I jak ten aparacik nie działał, [to] ja na lekcji na przykład matematyki (albo innej, która mnie nie interesowała) rozkręcałam [go] tymi śrubokręcikami i poprawiałam to, co –według wskazania –należało poprawić. Skręcałam [go z powrotem] i na przerwie już mogłam robić zdjęcia. To było zabawne. [Beirette] służył mi dwa lata, aż wreszcie się rozpadł.

Więc po jakichś dwóch czy trzech latach, jak już wyszło na to, że dziecko musi się czymś interesować, wypatrzyłam sobie w jakimś sklepie fotograficznym aparat Fed. Był solidny, metalowy. Uprosiłam, ubłagałam i dostałam. Na pewno nie za świadectwo, ale dostałam. [Ponadto] na moją korzyść przemawiało to, że mój kochany wujaszek od zawsze się zajmował fotografią i pasjonował się tym. [On] był aż dwadzieścia lat ode mnie starszy, a zachowywał się jak gówniarz. Był [w dodatku] chemikiem, [więc] miał w głowie wszystkie procesy fotograficzne i fotochemiczne. Gdyby się nie [parał] fotografią, to nikt nie kupiłby mi tego aparatu. [Ale] skoro Rysio może, to może [ja] też.

I stąd ta fotografia [w moim życiu]. Tak [wyglądały jej] początki. To były 1976 [rok]. Więc od 1976 do 1989 [roku] upłynęło trochę czasu.

3. Praktyki w wydawnictwach handlu zagranicznego

[Uczyłam się w] szkole fotograficznej [na] słynnej ulicy Spokojnej w Warszawie. Szło się do niej [koło] izby wytrzeźwień na [ulicy] Kolskiej. Po jednej stronie [znajdowała się] szkoła fotograficzna (oczywiście policealna), po drugiej cmentarz Powązkowski z wielkim murem. [Uczęszczałam tam przez] jakieś dwa lata. Potem [odbywałam] praktykę w wydawnictwach handlu zagranicznego. To było mistrzostwo świata i najbliższych okolic. Ekskluzywne wydawnictwo. Jedyne, które wtedy promowało cokolwiek, co miało związek z Polską. Przygotowanie [publikacji do druku wyglądało] kosmicznie. Nigdzie indziej nie można było zobaczyć, jak to się robi. Przyzwoita drukarnia, sprzęt fotograficzny do reprodukcji [wysokiej] jakości (nie [istniała] taka jakość [nawet] w książkowych obrazkach). Więc [te praktyki stanowiły mój] pierwszy kontakt z wydawnictwami i drukarstwem (które też wciąga). Ale ponieważ drukarstwo miało związek z techniką opartą [na] związkach ołowiu, to nie bardzo się do tego pchałam.

4. Drugą rzeczą, do której mnie ciągnęło, była fotografia naukowa

Potem [zaczęłam się zajmować] fotografią naukową, mikrobiologią [na] UMCS-ie. Przez chwilę studiowałam biologię. Fotografia naukowa była właśnie drugą rzeczą, [do] której mnie ciągnęło. Spełniałam się w [niej] przez jakieś dziesięć lat. Myślałam, że mam ochotę robić tylko i wyłącznie fotografię naukową.

[W jej ramach] fotografowałam bakterie pod mikroskopem. [Istniała] taka technika [jak] autoradiografia. Rośliny koniczynki, które –wiadomo –wiążą wolny azot atmosferyczny, dostają [przez to] pryszczki na korzeniach. I te koniczynki były między innymi znakowane jakimś izotopem, rosły sobie z nim. Potem robiono zdjęcie (właściwie fotografię stykową) tego, co się zadziało z tymi korzeniami pod wpływem izotopu. Czyli normalna radiografia. Używało się [do tego] procesów rentgenowskich. Świetna sprawa. Fotografowałam [również] bakterie, które milionami rosły na płytkach. Było ich tyle, że można było [położyć] łapę na tej płytce, zagarnąć je i wziąć do garści. One rosły w różnych kształtach tych kolonii. To było fajne. Nie kładłam tam łap, ale to było ekscytujące.

Następna rzecz, [którą się zajmowałam]: fotografia w ultrafiolecie. Czyli początki badań genetycznych (genetyka bakterii, badania opierające [się na] modelu wirusa). Wyglądało to w ten sposób, że poszatkowany materiał genetyczny z bakterii puszczono prądem. Ze względu na ciężar to rozdzierano, robiono paseczki. Oczywiście [wykonywano] to w żelu. Potem ten żel barwiono i traktowano światłem ultrafioletowym. I spod ultrafioletu robiono fotografię.

Makrofotografia, mikrofotografia, fotografia elektronowa z mikroskopu elektronowego –ja to wszystko robiłam. O prostackich reprodukcjach czarno-białych już się nie mówi. Nie było problemu z fotochemią, przepisami czy odczynnikami. Więc właściwie wszystko to, co miałam ochotę osiągnąć na materiale negatywowym, poligraficznym, na kolorze czy slajdzie, [osiągnęłam]. Poza technikami Kodachrome'. Wiadomo, że to było niedostępne. Ale procesy ciepłe, enerdowskie, Orwo Color, Orwo Chrom i procesy czarno-białe, odwracalne czarno-białe –to wszystko mogłam robić. Łącznie z procesami produkcji taśmy filmowej różnych rozmiarów.

5. Nagle zachciało mi się fotografować ludzi

W październiku [albo] listopadzie 1991 roku wpadłam na pomysł, że już nie chcę [pracować w Zakładzie Mikrobiologii Ogólnej UMCS]. Wyczerpała mi się formuła. Stwierdziłam: dobra, trzeba coś zmienić. Już wcześniej zaczęłam się kręcić przy „ludzkiej”fotografii. Nagle zachciało mi się fotografować ludzi i przyrodę, próbować jakoś to pożenić. [Poza tym pojawiła się] okazja, żeby zacząć publikować. ([Prawdopodobnie] od 1989 roku, [kiedy] powstał samorząd lekarski, zadawałam się z medyczną gazetą „Medicus” czyli już zaczęło mnie wciągać fotografowanie dla prasy). Chyba przez dwa lata fotografowałam dla rektoratu UMCS-u wydarzenia, które dla nich były ważne. I nagle stwierdziłam, że zaczyna mi się to podobać.

Żałuje rzucenia biologii [z tego względu, że miałam tam do czynienia z] różnymi bakteriami, chorobotwórczymi też. [Ale] wiedziałam, że nie da się [połączyć] studiowania biologii z fotografią. Mam jednak temperament do [prac] terenowych. A [na studiach] trzeba było siedzieć. I jak sobie pomyślałam, że wrócę do tego i [zostanę] albo laborantką w jakimś szpitalu, albo będę cały czas siedziała na etacie technicznym na uczelni i przygotowywała dla studentów ćwiczenia z bakterii, to

[stwierdziłam, że to jest] nudne. I porzuciłam to. Razem z biologią. Bo nauczycielką też nie chciałam być.

Jeszcze w związku z roślinnymi historiami, z biologią, którą próbowałam uprawiać, czasami się zdarzały jakieś chałтуры, jakieś waloryzacje przyrodnicze. [Niekiedy] robiłam jakiś film. Przy okazji tych waloryzacji [oraz] szukaniu roślinek na miedzach, [kiedy] spotykałam się z ładną sytuacją, to [ją uwieczniałam]. Fotografowałam ludzi, Kazimierz [Dolny, okolice] Kazimierza. Fotografowałam [wszystko to], co wpadło mi w ręce. Ale próbowałam to troszeczkę pożenić z przyrodą. Bo same drzewa [czy] krzaki [są] nudne.

6. Zmieniłam wszystko i poszłam do „Gazety Wyborczej”

W 1991 roku padła propozycja, że może przyszedłabym do „[Gazety] Wyborczej” Wtedy [gazeta ta] zaczęła nieśmiało myśleć o jakimś dziale foto, o fotografii. Jeszcze nie wiedziała, jak [to ugryźć], ale już [o tym] myślała. W październiku po prostu stwierdziłam: dosyć. Podjęłam już decyzję, że nie chcę być biologiem. [Poczułam, że] nic dobrego już mnie tam nie czeka. Zmieniłam wszystko i poszłam do „[Gazety] Wyborczej” Na początku [przez] dwa miesiące [w formie] współpracy, a potem [pracowałam] już na etacie.

I wtedy zaczęło się bardzo ludzkie fotografowanie, takie bez żadnych reguł. [Zresztą] oni też nie znali za bardzo tych reguł. Zmieniły się czasy i wszyscy się zaczynali [ich] dopiero uczyć. Już było więcej wolno. Niektórzy uważali, że już wszystko wolno. Że można sobie robić [to], co się chce z tymi zdjęciami. I nikt nie ma prawa się cześcić. Nie podejdzie milicjant i nie powie, że tu nie wolno, bo można mu [coś] odpowiedzieć.

7. Sprzęt przed 1989 rokiem –ważyło się każdą klateczkę

Zdaję sobie sprawę, że [przed 1989 rokiem] były inne czasy. Przecież rolka filmu [składała się z] trzydziestu sześciu klatek. Kupowało się dwie [albo] trzy rolki. A jak już się miało pięć kupionych za własne pieniądze, to się [je] strasznie szanowało. O, dobry Jezu, jak się szanowało... [Materiały fotograficzne z reguły] były polskie, ale trafiały się Kodak, Ilford, czeska FOMA... [Kiedy] się pojechało do Warszawy na giełdę, to się coś kupiło. Jak się [napotkało] Agfę, to człowiek dziesięć razy obracał w łapach pudełko [i się zastanawiał], na co to przeznaczyć.

[To] były niesamowite rzeczy. Każdą klateczkę się ważyło. Nawet [istniał sposób], jak zrobić trzydzieści dziewięć [fotografii] na trzydziestosześcioletkowym filmie. [Po] wyciągnięciu z kasety kawałek filmu lazło się z tym do ciemni. [Tam] zakładało [się] ten film, zamykało klapę i naciągało. Wtedy do tych trzydziestu sześciu klatek dochodziły jeszcze dwie, trzy w zapasie. To było szczęście. Bo zwykle film kończył się w nieodpowiednim miejscu. Czyli [wtedy, kiedy] naprawdę [się] potrzebowało klaty czy dwóch klat, to akurat ich nie było. [Z tego powodu] czasami nie zrobiło się zdjęcia, które potem okazywało się ważne. Czekałam: a, może jeszcze będzie

ważniejsza sytuacja. [A ona] nigdy nie następowała. Już się skończyła. I potem [sobie wyrzucałam]: cholera jasna, dlaczego tego nie zrobiłam. Pamiętam, że mnie się nawet śniły niesfotografowane sytuacje, gdy dałam ciała, gdy [coś] przegapiłam [lub] gdy czegoś nie zrobiłam. [Wtedy to] mi się śniło. Bo wiadomo, że to się już więcej nie powtórzy, [że] koniec. Można było [to uwiecznić], a z jakichś przyczyn się [tego] nie zrobiło –[na przykład] się kisiło tę klatkę [albo] skończył się film. Po prostu zdarzyło się coś takiego, [przez co] ta klata marzeń nie została zrobiona. I już.

Miałam trochę aparatów. Tak skakałam. Miałam nikona, canona, praktycę... Oczywiście nie zhańbiłam się zenitem. Służbowo, w mikrobiologii [pracowałam na] exakcie. Piękna sprawa z pięknym szkłem. Miałam [model] Pentacon Six –sześć na sześć z obiektywem sto osiemdziesiąt, celownikiem kominkowym i z pryzmatem. To było strasznie ciężkie. W domu [używałam modelu] Start 66. Kiedyś [pracowałam na] fiedzie. To taka ruska wersja leiki, tylko nieco cięższa. Sprzedałam [ją].

8. Fotoreportaże warte zapamiętania

Pamiętam, to było [wtedy], kiedy nasz wspaniały kosmonauta Mirosław Hermaszewski poleciał w kosmos, a potem wrócił. Ja byłam z Dębłina. [Tam] kończyłam liceum. I ten narzeczony, [i ten początek fascynacji fotografią] –to wszystko [miało miejsce w] Dęblinie. Więc moje pierwsze podejście do fotoreportażu [stanowiły właśnie] zdjęcia z przyjazdu w glorii i chwale kolegi kosmonauty Mirosława Hermaszewskiego do Dębłina. Podejmowano [go] kwiatami i różnymi innymi rzeczami pod pomnikiem Bohaterskim Lotnikom [Dęblińskiej Szkoły Orłąt]. W tle się pętał Zenon Jankowski –ten, którego [Hermaszewski] wyślizgał z lotu. I to było moje pierwsze zmierzenie się z [fotoreportażem].

[Początkowo tworzyłam] fotoreportaże do takich efemerycznych [periodyków. Jeszcze] nie „Gazeta Wyborcza” a „Tygodnik Współczesny”[albo] magazyn „Stop” [Kiedy] w czerwcu 1987 roku papież [przyjechał do] Lublina, ja pracowałam na uczelni. Wybraliśmy się grupą na Czuby, [żeby go zobaczyć. Na tę okazję] pożyczyłam ruski lustrzany obiektyw pięćset, którego kolega używał do fotografowania ptaków. [Ponadto] ukradłam z mojej macierzystej firmy trochę filmów. Pomyślałam *pro publico bono*, [że] trzeba odciąć to, co tam miałam, i przeznaczyć sobie na papieża. [Przyszliśmy] rano, żeby zająć najlepsze miejsca. Trafił się nam sektor nad wąwozem. Ale coś mi się tam nie podobało. Stwierdziłam, [że] muszę to zrobić inaczej. Zobaczyłam wieżę telewizyjną, zbitą z dech i podpartą kołkiem. Więc wlałam na ten kołek. Miał rozmiar [trochę większy od mojej] stopy. I stałam praktycznie całe nabożeństwo, powitanie i pożegnanie, trzymając się jednego kołka, a stojąc na drugim. A potem spadł deszcz. [Jeszcze] nie wiedziałam, że jestem w ciąży. [Chociaż] to nie miało większego znaczenia –i tak stanęłabym na tym kołku.

[Niestety] później się zaziębiłam. I te filmy, które wywołałam, dałam koleżance, żeby jeszcze raz [je] wyplukała. [Zrobiłam] całe [mnóstwo] negatywów z modlącymi się ludźmi. Przeciągnęłam wtedy chyba pięć czy sześć rolek. Ona oczywiście [włożyła je

do] płukania, [następnie] wyciągnęła. [Ale] w [tym zakładzie] mikrobiologii nie było [akurat] wody w kranach. I jak [w końcu] się [pojawiła], to zassało z piachem i pocięło te negatywy. A potem nikt się tym nie zajął. Wysuszone [już negatywy] gdzieś rzucono i [ostatecznie] zginęły, zostały wywalone. Nikt nie wziął pod uwagę, że [pojawią się] skanery i że skanując coś takiego, będzie można [to] odzyskać i uratować. Szkoda mi tego. Ale zostało mi kilka slajdowskich klatek na Fuji, [na których jest] papież.

Kasia Lambert była dziewczyną, która jako pierwsza dostała się do szkoły lotniczej w Dęblinie. Piękna małolata. [Pochodziła] z Lublina. Mieszkała niedaleko mnie na Sławinku, [chyba na] ulicy Zagrodowej, czyli bliżej Nałęczowskiej. Wojsko stwierdziło, że [skoro] staramy się [o wejście] do NATO, to trzeba te baby wpuścić do armii. I poszło w lud, że pierwsza kobieta w czasach nowożytnych będzie studiowała w szkole lotniczej. Więc Kaśka miała zdrowie i się [tam] dostała na kierunek pilotażu odrzutowców. I [ja] robiłam zdjęcia, jak [ona uczyła się] na podstawowe szkolenie wojskowe. Jeździłam do Białej Podlaskiej, gdzie [mieściła się] ta unitarka i gdzie były pierwsze skoki spadochronowe. Spędziłam z nią tam dzień czy dwa [dni]. Pamiętam, [że] właśnie materiał o [tej dziewczynie] i o jej pierwszych dniach w prawdziwym mundurowym wojsku sprawił [mi] przyjemność. [To był] materiał o Kaśce w mundurze, o sprzątanii, procedurach ścielenia łóżek (czyli gładzenia [ich] stołkiem, żeby kocyk [leżał] równiutko –takie różne paranoje), przygotowywaniu się do zajęć i o wylocie na pierwszy skok spadochronowy. Takie historie. I pamiętam, że to było fajne.

Jak miałam ochotę sama [stworzyć] cały materiał, to [go] robiłam. Albo mój szef, świętej pamięci Waclaw Biały w okolicach Boże Narodzenia [miał] stały tekst: „Wiesz, Burdza, nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, że idą święta. A w wigilię zwierzęta mówią ludzkim głosem. To może byś przemówiła w [ich] imieniu? Masz na to kolumnę” Popadałam w panikę: „Jezu, Wacek, ale co tym razem?” „Wymyśl coś” To ja wymyślałam. Jechałam do jakiejś jaskini, [gdzie były] nietoperze, albo rozmawiałam z moimi zwierzętami w domu, które do mnie mówiły.

[Innym razem, kiedy] zima robiła się zła, szef mi [powiedział]: „Wiesz co, zwierzęta są głodne” Ja [odparłam]: „Wiesz, ale ja karmię sikorki na balkonie” „A to może pojedź do lasu” Ja nie wiele myśląc, [odpowiedziałam]: „Dobrze. Jutro” I pojechałam sobie do lasu. Wtedy nie musiałam się prosić o delegację i nikt mi nie robił [taski]. Czekałam tylko na polecenie służbowe. Chociaż wiadomo [było], że już nogami przebierałam –[tak] koniecznie chciałam do tego lasu. [Ale pomyślałam]: niech oni wpadną na ten pomysł, że też [tego] chcą; nie będę się łaścić jak pies do kaptura, a oni wymyślą, że tutaj jestem [potrzebna] do ważniejszych zadań, [na przykład o] dziurze w ziemi. Więc podpuszczałam [ich] psychologicznie.

Bywało [też inaczej]. Otóż] jeszcze w starej siedzibie [przy] Krakowskim [Przedmieściu] wszyscy wychodzili na balkon palić [papierosy]. Kiedy] miałam na przykład interes do szefa albo [do] sekretarza redakcji, musiałam [tam pójść]. I kiedyś

usłyszałam: „Burdza, a co te gołębie tutaj robią?” [Odparłam]: „Po pierwsze, to nie są gołębie, tylko synogarlice. Po drugie, one tutaj będą się rozmnażały” „Aha. Czy możesz im potowarzyszyć?” „[Na] pierwszy etap rozmnażania jest już chyba za późno, bo kładą trzy gałązki na krzyż. Te gałązki [stanowią] już [prawdopodobnie] gniazdo. Ale mogę im potowarzyszyć przy reszcie” I [byłam obecna przy tym], jak kładły jajka, kłuły się pisklęta i jak one karmiły to obrzydlistwo. I potem co? „Masz kolumnę” I tak [wyglądały moje] samodzielne prace.

9. Prasowe związki tekstu z fotografią

Wtedy [nie istniała] jeszcze moda na to, żeby robić fotoreportaże i żeby je puszczać w gazecie. [To] przyszło później. Nie dało się tak od razu [zdobyć] kolumny albo dwóch kolumn i [stworzyć] sobie fotoreportażyk. Formułę [stanowiły] raczej zdjęcia z podpisem. W makiecie gazety [zostało określone], że pod zdjęciem musi [się znajdować] jakiś podpis. I bardzo rzadko [zdarzało się] tak, że [publikowano] zdjęcia zupełnie bez [tego]. Zawsze była jakaś rozbiegówka z tytułem. [Po prostu] wymagały tego makieta i layout. To mogły być dwa, trzy [zdania], pięć zdań. Potem się układało [z tego] historię. [Kiedy] czytelnika [po] otwarciu gazety zafascynuje [bądź] zaciekawi zdjęcie albo przyciągnie [jego] wzrok, to chce wiedzieć, [co ono przedstawia. Więc] pod [fotografią] naprawdę musi być nieopatologiczna informacja [kto], co i dlaczego, i [z jakiego powodu została] opowiedziana ta historia. Bo miejsce na sztukę jest w galeriach. Gazeta codzienna [natomiast] ma informować [odbiorcę. Toteż musi] pożenić funkcję estetyczną z informacyjną. Koniec. Nawet najpiękniejszy kadr pod słońcem trzeba opatrzyć podpisem.

Tak że słowo musi być i przed tym się nie obroni. Sądzę, że w mediach papierowych tamtych czasów większą uwagę zwracało się na słowa, [nie] na obrazki. Miało to [również] związek z jakością druku, która się poprawiała. [Poza tym] ludzie, którzy zaczęli wydawać gazety [po 1989 roku], wywodzili się z kręgu podziemnego, gdzie [wszystko] robiono na powielaczach [oraz] sprzęcie poligraficznym naprawdę różnej jakości. Praktycznie nie byli przyzwyczajeni do obrazu. Nie mieli do czynienia z [pismem] „Life” który wtedy był wiodący. Zresztą nikt nie miał dostępu do [niego oraz] do wzorów i wyznaczników używania fotografii, jakie promował. Więc skąd ci redaktorzy [mieli to wszystko] wiedzieć? Oni się dopiero uczyli.

Trudno się z tym pogodzić, ale [w prasie] przez długi czas zdjęcie [stanowiło] zapchajdziurę. Dlatego, żeby sobie poprawić humor i się nie nudzić (po prostu płodozmian), [swoje zdjęcia] uzupełniałam słowem. A nie miałam problemu z [posługiwaniem się nim].

10. Fotoreportaż jest opowiedzeniem pewnej historii

Fotoreportaż [oraz] reportaż [są] opowiedzeniem pewnej historii. [W jednym przedstawia] się [ją] słowami, [w drugim] zdjęciami. Ale to [wciąż] jest opowiedzenie historii. Trzeba wiedzieć, po co i komu się [ją obrazuje]. Zrobienie ładnych klitek to

jeszcze nie fotoreportaż. Zresztą w byłej pracy [dostawałam] piany [na ustach, kiedy] ktoś na paginie [określał] fotoreportażem [coś], co było [jedynie] układanką zdjęć. Zawsze wszystkim tłumaczyłam: „Ludzie, to nie jest fotoreportaż! Napiszcie: relacja, fotorelacja. Nie wprowadzajcie [innych] w błąd. Po prostu nie mylcie pojęć” Oczywiście państwo redaktorstwo wiedziało lepiej. Bo skoro [ktoś] jest jakąś władzą w redakcji, to lepiej wie, [czym] jest fotoreportaż, [i z nim] się nie dyskutuje.

Te historie bardzo ładnie opowiada Tomek Tomaszewski. Nie każdy [tak] potrafi. Jednym zdjęciem czy dwoma zdjęciami takie historie opowiadał Sebastião Salgado. To jest dobór, towarzyszenie, bycie, uczestniczenie... [Na przykład „Pożegnanie taboru”Andrzeja] Polakowskiego nie jest fotoreportażem. [On] nie opowiedział historii, [tylko przedstawił] zdjęcia, które mu się podobały. Mogła to być jedna [fotografia, mogły być] dwie, trzy [fotografie]. Mógł to być cykl [zdjęć]. Ale [one nie tworzą] fotoreportażu. Nie ma w [nich] opowiedzianej historii. Kilka zdjęć cygańskich twarzy to jeszcze nie uczestniczenie.

Tomaszewski jeździł do pegeerów, towarzyszył [ich mieszkańcom, i to] było widać. Tam jest relacja, emocja, trud. Bez tego nie może [powstać fotoreportaż. Jedzie się] dziesiąty raz w przeciągu półrocza. Jedzie [się], bo się [jest] związanym z [uwiecznianym wydarzeniem]. Ten, który pisze, też się z tym łączy. W głowie [wirują] mu literki i zdania [układające się w] opowieść. [W fotoreportażu z kolei wirują] obrazki. I właściwie żyje się tylko tym fragmentem [rzeczywistości].

W dzienniku jest problem [z zajmowaniem się fotoreportażem. Ktoś], kto jest zatrudniony, żeby fotografować rzeczy bieżące, nie jest w stanie wyleźć poza takie bieżączki, poza dziury w asfalcie i poświęcić czas (dzień, dwa [dni]) na chodzenie za tematem. [Oczywiście] niektórzy mają komfortową sytuację i nie [muszą się] zajmować takimi sprawami]. Tak jak na przykład Jacek Świerczyński z „Dziennika Wschodniego” Spotkałam go, [kiedy] robił temat [o skateparku znajdującym się] w hali [przy] bocznej [ulicy] Męczenników Majdanka. Z pół roku tam chodził [i fotografował] skejterów. U mnie nikt nie pozwoliłby na coś takiego.

11. Dzień z życia czytelniczki „Wysokich Obcasów”

Zdarzyła mi się bardzo fajna historia. [Otóż] „Wysokie Obcasy”zrobiły kiedyś konkurs „Dzień z życia czytelniczki [WO]” Polegało to na tym, że [chętne osoby miały] opisać modelowy dzień z życia. Jeżeli spodobałoby się to redakcji, to [ta miała] sfotografować [tę historię], opisać i opublikować. Dziewczyna, która wygrała, miała na imię Joanna i była z Chełma. Czyli zadupie. Żaden szanujący się i spragniony pieniędzy fotoreporter z warszawki nie przyjedzie do panienki, która wychowuje dwoje dzieci. Więc padło na mnie. Miałam wykonać [jej] kilka zdjęć. [Z jednej strony] przedstawiono dzień z życia Kazi Szczuki, osoby publicznej, [z drugiej strony] –panienki z Chełma. Nikt na dobrą sprawę nie wiedział, jak [ona] wygląda. Ale [jej] historia była taka: matka dwójki dzieci, [która] studiuje w jakimś kolegium językowym. [I to] się spodobało.

Zadzwonili do mnie: „Nie zrobiłabyś tej dziewczyny [dla] „Wysokich Obcasów?” [Odparłam]: „Dobra. Ale tam trzeba będzie pojeździć” „Dobrze” Zaczął się [pośpiech]. Zadzwoiłam do [Joanny], umówiłam się [z nią] i pojechałam. [Okazało się, że] mieszka nie w Chełmie, [tylko] pod Chełmem. Przyjechałam, znalazłam dom. [Weszłam i zobaczyłam] piękną zjawiskową kobietę. Pomyślałam: dobrze. Pogadałyśmy chwilę. Ona oczywiście myślała, że to będzie chwila moment i po sprawie. [Powiedziałam]: „Nie. To ma być coś więcej. Teraz zobaczę, jak pani wychodzi na zdjęciach” Podpuszczałam [ją]. Po prostu [chciałam] zobaczyć, jak działa przed kamerą, co z nią trzeba zrobić, czy to będzie trudne, jak to będzie wyglądało... I tak powoli, powoli ją oswajałam.

Okazało się, że [Joanna] bardzo szybko się zaadaptowała do tego, co robiłyśmy. To już dobrze. [Zauważyłam, że] kamera ją lubi. To jeszcze lepiej. Dziewczyna naprawdę zjawiskowa. Po godzinie z hakiem [czuła się już] zmęczona, [więc] odpuściłyśmy. [Wiedziałam, że] będzie więcej sesji. I tak umawiałyśmy się [na kolejne]. Uprzedzałam ją, [że] następnym razem podejźmy do tego, do tego, do tego... Na podstawie tego, co napisała, ustaliłam sobie plan, w jakich sytuacjach chciałam ją [zobaczyć] i w jakich sytuacjach chcieliby ją zobaczyć czytelnicy.

Z pięć razy tam [przyjeżdżałam, żeby zrobić zdjęcia] do głównego materiału. Naprawdę przyjemna praca. Fotografowałam [Joannę] z dziećmi, z mężem, bez męża, w ogrodzie, bez ogrodu... Dostała wtedy małego pieska, wilczurka, więc miała problem, jak go wychować. Plus dwójka dzieci (które były nieduże), plus prowadzenie domu, plus studiowanie anglistyki w Chełmie. A pracę licencjacką pisała o Harrym Potterze. To było fajne.

Zrobiłam mnóstwo zdjęć. Cały materiał wysłałam [do redakcji] „Wysokich Obcasów” [Powiedziałam]: „Słuchajcie, nie mam do tego dystansu. Obejrzyjcie [te fotografie i po] upływie jakiegoś czasu wrócimy do [ich] oglądania i przebierania [w nich]” To [było] w czerwcu. [Ten materiał] leżał i czekał. Nagle zrobił się koniec sierpnia i niespodziewanie zadzwoniła do mnie edytorka [pisma]: „Słuchaj, przejrzałam [to] wszystko. Zrobiła się z tego piękna historia. [Opublikujemy ją] 1 września. Pomyślałam, że [może] podjęłabyś się jeszcze zrobienia do tego okładki?” [Odpowiedziałam]: „Dobra, nie ma problemu. Laska jest w porządku. Przez wakacje ode mnie odpoczęła, [więc] możemy się przymierzyć do tej okładki”

I [tak zrobiłyśmy]. Była późna jesień. Już [rolnicy] kończyli zbierać zboża. [Joanna] obroniła [pracę licencjacką]. Wymyśliłam sobie, że [ta okładka będzie] mówić [zarówno] o schyłku lata, [jak i o] schyłku jakiegoś etapu [w jej życiu]. A potem będzie coś innego. [Więc] nie chciałam, [żeby na tej fotografii były] dzieci. [Zdjęcia z nimi znajdowały się] wewnątrz [pisma. Tym razem zamierzałam] pokazać urodę tej kobiety. Ale [pragnęłam ująć to w innym sposób], niż [przy typowej fotografii] dziewczyny z okładki.

Poszłyśmy [więc] w pole. Zaczęłyśmy robić [zdjęcia]. Oczywiście znowu po godzinie intensywnej pracy [musiałyśmy] skończyć, bo byłyśmy spompowane. Jak [wyglądała]

okładka? Przedwieczne pole, gdzie się pętały mgły i dymy. Zrolowany zwał słomy. Dziewczyna w niebieskiej sukience sfotografowana troszeczkę od dołu. I młoda psina, która za chwilę zacznie [się] jej wrywać na smyczy. [Ta] psina się wrywała do mnie, żeby mnie gryźć po łydkach (zęby [ją] swędziały), bo ja [ją] oczywiście rozbestwiałam. Ten pies [przez] chwilę siedział, a potem [chciał] biec w moim kierunku. Gdyby] był większy, to [Joanna] by pofrunęła za nim. I to była właśnie taka sytuacja –przed startem psa. On [siedział] chwilę spokojnie, ona [stała] wyluzowana. [Na tej fotografii] wszystko było ważne: i rolka słomy, [i młody wilczur. Czułam się] dumna z [efektów]. Dostałam trochę maili, że to było inne, nie takie warszawskie, i fajne. Laska była zadowolona, ja też. I to [zdjęcie] miało iść do publikacji.

[Pewnego] wieczoru zadzwoniła do mnie edytorka: „Słuchaj, wiesz co, jest problem. Wypadło ogłoszenie z [tylnej] okładki. Trzeba coś zrobić, żeby to, co jest z przodu, z automatu przechodziło na tylną [część]. A z tego, co [nam] wysłałaś, nic nie można przyciąć. Podeślę ci zdjęcie, które wybraliśmy” Czyli [musiałam] zrobić drugą część okładki, żeby była kontynuacja tego pola. [Pomyślałam]: dobra, mogę [tam] pojechać następnego dnia. Więc rano zadzwoniłam do Joanny. [Powiedziałam]: „Słuchaj, jest taka sprawa. Czy ty w ogóle jesteś? Bo tam na polu były te rolki [słomy]. Idź, wyjrzyj, czy one jeszcze są? Bo muszę zrobić [zdjęcie] samym rolkom” Wytłumaczyłam jej, o co chodzi. [Po chwili powiedziała]: „Wiesz, leżą. Przyjeżdżają”

Oczywiście miałam rój [innych] tematów [do wykonania], i to w jakiejś innej części pod Lublinem. Musiałam przebić się przez Lublin i dojechać do tej Pokrówki. Jeszcze pech chciał, że przed [tą miejscowością] złapała mnie policja na [złamaniu] ograniczenia [prędkości] i wyprzedzaniu na podwójnej ciągłej. [Powiedziałam] tym gliniarzom: „Panowie, ja jadę tu i tu, numer taki [i taki]. Za piętnaście minut zdechnie [mi] światło. Jak nie zrobię tego zdjęcia, to nie mam po co wracać [do Lublina]. Macie dokumenty, macie wszystko. Ja tam muszę pojechać. Wrócę do was” [A oni odparli]: „To my pojedziemy z panią” „Dobra, ale biegiem” Więc na to podwórko prrrrrrru. Wskoczyłam z tego auta. [Ci policjanci] stali przy moim samochodzie, [kiedy] wygarnęłam ten cały sprzęt (bo nie wiedziałam, czym zrobię [to zdjęcie] i z którego momentu). „Joanno, dawaj” Ona wyskoczyła. [A te rolki leżały na] cudzym polu, [więc] musiałyśmy przejść przez [czyjeś] podwórko. Naprawdę była już reszta światła. Zobaczyłam: jakiś cholerny chłop pozbierał te belki. Joanna [powiedziała]: „Jezu, rano były!” [Odparłam]: „Dobra, spokojnie. Jest jeszcze miedza, zarysy jakichś kwiatków, dymów. Dam radę, byle tylko trochę tego światła zostało” Bo słońce już zaszło. Jego praktycznie nie było. To [miało miejsce] dzień [albo] dwa dni [po sesji z Joanną]. Niby pogoda podobna, ale przejście [między okładkami] musi [wyglądać] łagodnie. To [musiało] się zgadzać kolorystycznie. [Z tyłu mogło] nic nie być, ale kolorystycznie [musiało] wyglądać tak, jakby to] był ten sam kadr. To chyba najbardziej pracowite zdjęcie, jakie musiałam wykonać do tej sesji.

Potem już oddałam się do dyspozycji panom policjantom. Machnęli ręką. Przyjechałam [do Lublina] i wysłałam [tę fotografię]. Dobrze wyglądała ta okładeczka.

Data i miejsce nagrania	2012-11-06, Lublin
Rozmawiał/a	Marcin Sudziński
Redakcja	Maria Buczkowska
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"